

— Co mi tam, niech się śmieją — odparł rezolutnie Maciuś — oni nie rozumieją tego...

Na tem zakończyła się rozmowa, a Maciuś noc całą nie mógł spać na myśl o szczęściu, które go czekało.

Nazajutrz, skoro świt, Maciuś już plug naprawiał, a zajęło mu to kilka godzin czasu. Oczernił się, spocił, zmęczył, lecz wesół był jak nigdy.

Słońce już było dosyć wysoko, a był to koniec kwieśnia, gdy Maciuś z bijącym sercem, palającymi oczyma, wyjechał na pola, ciągnące się między wsią a lasem, by orać. Porucznik obiecał przyjść zobaczyć jego pracę, koledzy pożegnali go drwinkami.

A on ochoczo wziął się do roboty i orał powoli, z namaszczeniem, bruzdę za bruzdą, zachęcając konie.

Wiatr szumił w wierzchołkach drzew, w lesie wołała kukułka i wiewiórka rudowłosa mknęła z gałęzi na gałąź, wieś w pozłocie stała słońca — a Maciuś orał.

I wiewiórka na skraju lasu wychyliła łebek z gęstwiny i patrzyła ciekawie na pole. A na polu, jeszcze pod wsią samą, czerniała sylwetka człowieka. Człowiek kierował plugiem, a konie szły chętnie, znacząc na ziemi cienie krótkie, karykaturalne, bo słońce już było wysoko.

Maciuś orał...

Szedł imiejsce koło miejsca odrzucał czarne skiby plugiem, szedł zagłębiając lemiesz ostry w stwardniałą ziemię, szedł, a w duszy hejnały mu grały nadziei i radości.

Maciuś orał...

Konie szły ochoczo przy plugu, znać iż do niego nawykły, a ostrze lemiesza zagłębiało się w ziemię, ziemię rodzicielską i krajało ją w szmaty czarne, kawały życiodajne, ziarna spragnione.

Maciuś orał...

Radowała się ziemia, radowała matka ludzkości, iż plug pobudza ją do pracy twórczej na nowo, radowała się, bo czoła, iż po tej orce ziarno na łono jej padnie.

A za oraczem stada leciały wron i przypadały przy odwracanych skibach.

Maciuś orał...

Orał, duszy swej oczyma widział pszenicy pełne kłosy, chylące się z wiatru powiewem. Orał i słyszał, słyszał melodię tych kłosów i sierpów dźwięki i żeńców śpiewy wesole.

I szedł za plugiem, znacząc bruzdę za bruzdą i konie zachęcał okrzykiem.

Wioł wiśia kary! Prędzej koniku, na chleb dla biedaków pracujesz, będą syć, gdy wrócą do stron ojczystych.

Wiewiórka ukryta w gęstwinie, patrzyła na oracza ciekawie, a on zbliżał się ku drzewom lasu powoli, zawracając na krańcach pola.

Maciuś orał...

A między budynkami wsi ukazał się porucznik Listowski. Szedł nie sam, lecz w towarzystwie przybyłego kapitana Warmkiego i właśnie opowiadał mu o chłopcu.

Maciuś zaś zaczął doorywać ostatniego zagonu pod lasem. Wiewiórka trwożnie zaszyła się między wyższe gałęzie. Kukułka umilkła... Nastąpiła złowroga cisza...

Naraz Listowski spojrzał pod las i za głowę się chwycił:

— Na Boga! kapitanie! toż ten szaleniec pod samym lasem orze, tam często padały granaty!...

I zaczął wołać, by chopca ostrzedz: Maciuś! Maciuś!

Lecz on nie słyszał. Bo i jakże mógł słyszeć, gdy był w szum przyszłości zasłuchany! Bo i jakże mógł słyszeć, gdy w duszy grały mu zboża swą smętną piosenkę, gdy w sercu miał dźwięki sierpów i śpiewy żniwiarzy?

O świecie Bożym nie wiedząc, Maciuś doorywał ostatniego zagonu pod lasem.

— Maciuś! Maciuś! wołał rozpaczliwie porucznik, przyspieszając kroku...

Konie dochodziły już prawie do krańca, znacząc za sobą bruzdę ostatnią.

Naraz... tuman przesłonił oracza, sochę i konie. Zachybotało coś okropnie, zawirowało w powietrzu, słup ziemi wyrzucił w górę, huk rozległ się ogłuszający, a ponad wszystko wzbił się biały, gęsty słup dymu...

A gdy dym opadł, miejsce, gdzie Maciuś orał było puste... O kilka kroków od niego majaczyły tylko jakieś poszarpane szczątki... Lemiesz trafił na granat, wbity w ziemię. Listowski i Warmski bez tchu podążyli na miejsce wypadku.

Jeden koń zginął... drugi leżał obok z wydarfami wnętrzościami. Plug poszedł w szmaty. O kilka kroków dalej leżał Maciuś.

Odlamek granatu oderwał mu rękę od obojczyka i pierś posza pał i otworzył okropnie, a z głowy spływał strumyczek krwi. — Na twarzy miał uśmiech radosny i jasność nadludzką, w zdrowej ręce trzymał część kierownicy pluga.

Listowski pochylił się nad nim.

Nie żyje! — rzekł cicho do kapitana, jakby bojąc się zbudzić zmarłego.

Nie żyje! — powtórzył kapitan.

Oficerowie zdjęli czapki i ukłękli przy ciele Maciusia. Słońce stojąc na zenicie oświecało tę dziwną scenę. Ze wsi wysypywać się zaczęli żołnierze zaalarmowani eksplozją. W dali odezwała się kukułka, a wiewiórka wychylając rudą główkę z gałęzi, spoglądała na pole ciekawie...

Po chwili oficerowie podnieśli się. Pierwszy ochłonął kapitan.

— Poruczniku — rzekł, przecierając szkła, które zapotniały jakoś — żołnierze niech dziś obsieją to zorane przez niego pole, a to chłopie polskie pochowajcie tu, pod lasem, na skraju... kofej bruzdy osłanij, której dobrać nie zdołał...

Piętzejowice, 21 lipca 1922.

Z TEATRU.

Teatr Bagatela.

Proces rozwodowy pani B.

(Komedia w 3 aktach Sidney'a Garricka.)

Okropnie sprytnie obmyślane kawały wodzą się po scenie za rozczochrane głowy, idąc o lepsze z rutynowaną adwokacką blagą i rozkosznym wykonaniem aktorów.

Wszystko zaś odbywa się na pograniczu miłości, wiarygodności i prawa, które się ze sobą na scenie, jak w życiu, poplątały w rozkoszny węzeł śmiertelnie smutnego tematu: Małżeństwo... i rozwód!!

Dwa na równi czarujące, na równi przyciągające słowa, w których się od wieków zakłęło 99% ludzkiego szczęścia! Małżeństwo i rozwód! — to niby brat i siostra, to niby cień i światło (małżeństwo będzie oczywiście cieniem!) to niby dwaj najwierniejsi przyjaciele, dwaj bracia syamscy, zrosnięci ze sobą wieczyste, wieczyste wierni i wieczyście sobie następujący na pięty... achillesowe! Małżeństwo i rozwód! — toż to — rzecz jest zupełnie jasna — mąż i żona!!

Małżeństwo i rozwód! — dwa proste, niewymuszone, niewyuczone słowa, które przez wzajemną negację siebie wieczyście się uzupełniają. Przecież rozwód bierze się po to, aby zawierać małżeństwo! A małżeństwo...?...

Zręszta, chodzi tu tylko o następstwo zdarzeń! Małżeństwo i rozwód! — Znaleźć tylko dobrych aktorów i grać, grać bez prób, bez suflera, jak je gramy w życiu, sztuka bowiem jest do zagrania wszędzie.

Małżeństwo i rozwód!! Panowie!! który z Was nie potrafi zawrzeć małżeństwa? Panie!! która z Was nie doprowadzi do rozwodu?

Więc na scenie jak w życiu, w życiu, jak na scenie, jak ze sceny, jak z nut, jak z kart, bez suflera, bez prób — grajmy!!

Żoną była panna M. Modzelewska, mężem pan Z. Nowakowski, obydwójce wywiązali się ze swego zadania znakomicie. Pan Z. Noskowski w roli nadwyreżonego życiem przyjaciela męża, pan Schuberbert w roli koncypianta i reszta wykonawców grała bez zarzutu. Reżyserował Z. Nowakowski.

Teatr Słowackiego.

Tragedya dzieci

(dramat Karola Schönerha, przekład A. Schrödera.)

Karol Schönerh jest, mimo pięknych pozorów, człowiekiem bez... serca.

Bo, doprawdy, że było z jego strony rzeczą wyrafinowaną okrutną, że napisawszy ponury dramat o wiarygodności pewnej pięknej żony leśniczego — czego by ostatecznie mógł wogóle nie robić, (komuż jest bardziej do twarzy z rogami, jak... leśniczemu!!?) dla tem większego udręczenia Bogu ducha, a żonom serca winnych widzów — kazał dramatu całego prawdziwymi aktorami być dzieciom!! Biednym, przeczulonym do przesady, wrażliwym do chorobliwości dzieciom, na których świadomość błędu matki ciąży jak przekleństwo, obala i burzy prostolinijne dogmaty ich dziecięcych wierzeń, popycha do prawdziwej zbrodni (zabicie gacha), a córkę skierowuje na grząską drogę tego grzechu, który się w prymitywnej leśniczówce dokonuje na sianie!!... niestety, za... sceną!

Sztuka, w treść wcale ubożuchna, nieco patetyczna, mająca akcenty nieszczeroci, mogłaby być zajmującą jedynie przez mistrzowską grę jakiejś doskonałej trójki aktorów.

W teatrze Słowackiego położono ten duży ciężar, który się niemal okazał ciężarem nie do udźwignięcia, na wątłe barki, pełnej szlachetnego entuzjizmu i pięknej ochoty, aktorskiej młodzieży.

Pan Socha (starszy brat) dźwigał z przekonaniem ten ponury ciężar na siły, dzielnie, a duże umiarkowanie i unikanie szarży, powinno mu być policzone na korzyść.

Panna Lubieńska, niemal debiutantka w dramacie, włożyła niewątpliwie dużo starannej pracy i serdecznego przejęcia się w powierzona sobie rolę, nie zawsze lednak potrafiła znaleźć akcenty należyte. P. Sniadecka wydobyla z roli swojej niewielej efektu scenicznego w akcie trzecim.

Reżyserja dyr. Teofila Trzcińskiego była bardzo staranna.

„Człowiek z budki suflera“

(Komedia w 4 aktach Tadeusza Rittnera.)

Spojrzał na nas ze sceny człowiek tak mądry, jak osiwały nad księgami wiedzy uczony, tak cichy i tak smutny, jak śmierć ponad wszystko ukochanego dziecka, tak drogi i tak kochany, jak

niewymuszona pieśczęta dwojga białych rączek jasnowłosego dziewczęcia, które już nie jest podlotkiem, a jeszcze nie jest kobietą.

Przemówił do nas ze sceny dziwny człowiek, który musiał mieć kochające i dobre serce, bo miał oczy zawsze dziwnie smutne i zatroskane, patrzące na życie jakby przez mgłę dwóch, na rzęsy opadających łez — które są jak perły — kryształowe. Patrzyło bowiem na nas ze sceny spojrzenie dwojga bardzo smutnych i zatroskanych oczu poety, które widziały już wszystko i wszystko już zrozumiały, a które należały do człowieka, bardzo mądrego — mimo, iż był także urzędnikiem.

Była bowiem na scenie taka piękna bajka o teatrze, który jest „domem, pełnym światła“, w którym się dlatego właśnie można zakochać na śmierć, jak we własnej wypieszczonej kochance, która przecież mimo wszystko pozostanie przekupna i tania, choćby się ją chciało zatrzymać takimi słowami, z których każde jest warte dwie pełne garście najszlachetniejszych kamieni.

Bo chociaż w sztuce jest mowa o wielu, bardzo zajmujących rzeczach, to przecież wszyscy tam na scenie grają ze sobą jakby jakąś niepotrzebną komedię, bo w istocie nie kochają nic i nie kochają nikogo, tylko kochają teatr.

A ponieważ on — ten „dom pełny światła“, przy którymby wszyscy chcieli ogrzać zlodowiałe swoje serca — które nigdy nic na prawdę nie wiedzą i są zawsze pieśczęty nie syte — a ponieważ on, ten dziwny dom, w którym się wszyscy kochają i któremu zaprzęдали bez reszty dusze i ciała, jest zimny i ciemny, więc w nim po nocy chodzą duchy innych znowu, podobnych tym żywym, ludzi, którzy się w nim jeszcze okropnie kochają, wszyscy bardzo smutni i śmieszni z tem swoim serdecznym zakochaniem.

Pan Białkowski, który już swojego czasu w Rittnerowskiej „Tragedyi Eumenesa“ i w Rittnerowskich „Wilkach w nocy“ dał skończone kreacje Rittnerowskich postaci i jako człowiek z budki suflera dał ze siebie wszystko, co miał najlepszego. To swoje bezgraniczne, skończone wczucie się w rolę, które mówi o zrozumieniu z autorem.

Pani Kossocka, jako Ewelina Corelli, wywiązywała się ze swego zadania poprawnie, chociaż nie wydobyla z roli wszystkich wartości i możliwości, które są w niej szczerobliwie pańskim gestem Rittnera rozsypane.

Pan Szymborski, panowie Chodecki, Krawczyński i Szymański, oraz reszta wykonawców, stała na wysokości zadania. Wiesław Wahnout.